№ 4 i 5 Lipiec — sierpień

PACJENT KASY CHORYCH

Obrona Ubezpieczonych i Ubezpieczeń Społecznych

POD REDAKCJĄ

CZESŁAWA HULANICKIEGO

ORGAN BEZPARTYJNY

WARSZAWA 1927

Cena numeru 50 gr.

Nr. 4 i 5 Lipiec i Sierpien Rok I

PACJENT KASY CHORYCH

Obrona ubezpieczonych i ubezpieczeń społecznych

pod redakcją Czesława Hulanickiego

Pod znakiem komisarza

Tu l'as voulu, Georges Dandin!
(Sam tego chciałeś!)
Moljer.

O mianowaniu rządowego komisarza w Warsz. Kasie Chorych coraz głośniej. W prasie, społeczeństwie i ministerjach wskazują termin, wymieniają kandydata. Nikogo, kto choć w grubszych rysach zna gospodarkę obecną Kasy, zarządzenie takie nie zdziwi i nie zasmuci. Dziwićby się raczej należało, że ono przychodzi tak późno, kiedy zarząd, od 4 lat, częściowo bezprawny i nielegalny, kurczowo przytrzymujący się swych stanowisk, dopełnił miary nieprawości, niegodziwości, nadużyć.

Oczywiście, rządy komisarza — to przekreślenie samorządu, tego kanonu instytucji społecznych. Żaden cywilizowany człowiek nie wyobraża sobie instytucji obywatelskiej, stowarzyszenia lub związku — bez samorządu, ale też żaden ani chwili nie tolerowałby skandalicznej, fatalnej, bezmyślnej, gangrenę i publiczne zgorszenie szerzącej działalności kliki, zwartej osobisto-partyjnym interesem, przeważnie osobistym

Wobec takiej sytuacji, objektywnie patrząc, komisarz jest nieodzowny. Komisarz odpowiedni, uzbrojony w najszersze pełnomocnictwa, w żelaznej ręce trzymający żelazną miotłę i w imię wolterowskiego: **„écrasons l'infamie"** (zgniećmy ohydę!) czyszczący stajnię augjaszową po dyktatorsku.

Czy znajdzie się taka herkulesowa siła?! Nie przesądzajmy zgóry! Już na jesieni r. ub., na ręce ówczesnego premjera inż. Bartla, grupa inteligencji złożyła obszerny memorjał, szeregiem faktów ilustrujący to, co się dzieje i wyprawia w stołecz-

nej Kasie Chorych, która miast być wzorem zachęcającym dla całego kraju, stała się odstraszającym i odpychającym przykładem. Dla przeprowadzenia niezbędnej i gruntownej sanacji memorjał domagał się rozwiązania zarządu, naznaczenia natychmiastowych wyborów, a do tego czasu mianowania komisarza z należytym cenzusem umysłowym.

A kiedy, w końcu r. ub., ukazała się w druku broszura Hulanickiego, udawadniająca na faktach i dokumentach horrendalne stosunki w Kasie i demaskująca obrzydliwą „podszewkę" tych rzeczy, broszura była przedmiotem rozważań na radzie ministrów, ale w obu razach, niestety, wpływy P. P. S. wzięły górę*).

A od tego wszak czasu proces wynaturzania, parodjowania i obrzydzania tak ważnej dla proletarjatu fizycznego i umysłowego reformy socjalnej nietylko nie ustał, ale z szybkością lawiny postępuje. Inaczej zresztą być nie może. Oto czemu. Przed listopadowemi wyborami do rady Kasy, władze jej, zarząd i komisje, choć już wtedy atakowane, piętnowane i przypierane do muru, **udawały** „ideowców", bezinteresownie jakoby służących klasie pracującej. Sytuacja powyborcza doszczętnie zdarła tę maskę i obnażyła duszyczki. Każdy dziś rozumie, co się kryje za frazesami, co jest bodźcem „zbożnej pracy" w zarządzie Kasy Chorych.

Jeżeli — jak mówił Skarga — „rzadki jedzie na sejm ku pospolitemu szczęściu, ale, aby sobie oberwał", to cóż mówić o Kasie, gdzie miljony się przelewają, gdzie do wszelakiego rodzaju korzyści i „obrywków" sprytnie należy tylko ręką sięgnąć! I dziś każdy rozumie, dlaczego, pomimo wyborów, pomimo piętnowania rozpalonem żelazem, zarząd ani myśli ustąpić, jakby powrozami był do foteli przywiązany! Pomijając wszystkie, tak liczne inne głosy, doszło do tego, że uzależniony, podwładny personel biurowy wymierzył taki oto swej władzy policzek: „jesteście **moralnie** wyrzuceni, trzymacie się tylko **siłą fizyczną**" — czytamy w „Sprawie ubezp. społ.", organie pracowników kasowych.

Czy jednak można tak wyeliminować z życia publicznego

---

*) Niedarmo „Robotnik" nie przyjął płatnego ogłoszenia o wyjściu broszury, jak nie przyjął o „Pacjencie"! Pismo, które umieszcza anonse o domach gry, o wróżbitach i różnych szantażystach...

czynnik etyczny? Tak już bez żadnej zgoła żenady myśleć jeno o „obrywkach?!".

Znany dziennikarz, Stefan Dunin, którego przenikliwość jest wsparta nauką akademji handlowej w Antwerpji, w szeregu artykułów w „Warszawiance" zanalizował gospodarkę finansową Kas Chorych za 1924 rok i dowiódł, że zginęło bezpowrotnie **50 miljonów złotych.** **„Ginie i niewiadomo gdzie"**, melancholijnie stwierdza ostrożny autor.

Otóż to! Tu sedno rzeczy. Ileż z tych 50 miljonów zginęło w największej i najbogatszej Warszawskiej Kasie Chorych, ile?! Wiedzą o tem „Bóg i jenerał Dehn" (v. broszurę Hulanickiego, str. 33, rozdział: „Orgje z nieruchomościami").

Ale—przypuśćmy, wbrew oczywistości — „nie ginie!". To, jak poucza socjologja, zarządzanie i rozporządzanie ogromnym majątkiem, kapitałami zbiorowemi, nadaje zarządowi conajmniej taką samą ilość **władzy,** jak posiadanie własnego majątku.

A jak taka władza deprawuje, czyż potrzeba się o tem rozwodzić?! Spójrzcie na tablicę!

Jakiegoż, doprawdy, potrzeba tęgiego komisarza, o tęgim umyśle, żelaznej woli, nieugiętym i niezależnym charakterze, aby w tym splocie tak powikłanych stosunków nie zgubił się, a Kasę wyprowadził na czyste wody!

Do spraw tych wrócimy.

Pacjenci w sieciach Kasy Chorych

Śmierć „symulanta"

Od 1920 r., t. j. od samego powstania Kasy Chorych należał do niej p. Wacław Pogoda, mechanik w fabryce rowerów p. f. B. Wahren (3 Leszczyńska).

Będąc od 1925 r. chory na nerki i gruźlicę płuc, P. leczy się, z przerwami, w Kasie i ostatnio, za poradą d-ra Marońskiego, wyjechał w maju do Radości (pod Warszawą).

Wezwany przez firmę, z powodu nawału sezonowej roboty, w obawie zupełnego postradania zajęcia, musiał Pogoda powrócić do fabryki 31 maja r. b.

Zżarty jednak chorobą organizm pacjenta już w dniu 4 czerwca nie pozwolił na dalszą pracę i żona odwiozła p. Pogodę na wieś.

A już w d 22 czerwca trzeba go było umieścić w szpitalu, z polecenia lekarza, widzącego stan beznadziejny.

Karetki pogotowia Kasy na dworzec kolejowy w Warszawie wysłać odmówiono (nie było to bowiem ani polowanko Exnera, ani spacer Koralewskiego) i dopiero z prywatnego pogotowia odwieziono umierającego do szpitala św. Łazarza, gdzie nazajutrz, dnia 23 czerwca 1927 r. Pogoda zmarł.

Tak się przedstawia akt I-szy dramatu.

Drugi akt rozpoczął się z chwilą, kiedy wdowa, pani Helena Pogoda zwróciła się do oddziału Kasy na Solcu, gdzie nieboszczyk leczył się i pobierał świadczenia, o należny jej zasiłek pogrzebowy na koszty pogrzebu.

Jakkolwiek wdowa przytem dopełniła wszelkich formalności (jest ich bez liku: przedstawiła zaświadczenia firmy, złożyła książeczkę członkowską, akt śmierci i t. d.), to jednak wypłacenia prawnie i statutowo należnego zasiłku biuro uskutecznić nie chciało.

Mianowicie, urzędnikowi wszystko wydało się podejrzanem — choroba, praca, śmierć, to **symulacja**, to podstęp, to fortel! Dokumenty? Zaświadczenie ogółu, około 20 pracowników fabryki? Co to wszystko znaczy, wobec nakazanych przez zarząd „jak najdalej idących oszczędności"!!!

Co znaczy ustawa, której art. 32 jasno i kategorycznie opiewa, że nawet po wyczerpaniu pomocy dla chorych, Kasa zasiłek pogrzebowy wypłaci, o ile śmierć członka nastąpiła w przeciągu pół roku po tem wyczerpaniu, — co to znaczy wobec biurokratyzmu kasowego i wobec nakazu „oszczędzania"! „Oszczędzania" na nieszczęsnej wdowie z dzieckiem przy piersi, spekulując na to, że nie trafi do redakcji „Pacjenta", że zmęczona odejdzie z kwitkiem, odsyłana od Anasza do Kajfasza! Ale trafiła, napisała skargę do zarządu Kasy i do urzędu ubezpieczeń. Z jakim skutkiem, nie wiemy, przypuszczać należy, że swą należność (w wysokości aż 3-tygodniowej płacy ustawowej!) wreszcie otrzymała, a ile przytem połknęła przykrości, szykan, podejrzeń krzywdzących, indagacji, ile zmitrężyła czasu w tak bolesnem przejściu, jak śmierć męża, — któż to zliczy?!

Krzywdziciele

Do zakładu położniczego „Macierzyństwo" (Hoża № 76) — jak opiewa zaświadczenie oficjalne zakładu, podpisane przez akuszerkę p. Bidzińską, — w nocy z 7 na 8 marca r. b. przybyła p. O., żona urzędnika Głównego urzędu statystycznego, mieszkającego pod Warszawą.

Stan położnicy był niebezpieczny, gdyż — stwierdza dalej wspomniany dokument — poród już się rozpoczął, główka ukazywała się nazewnątrz, w 20 minut po przybyciu, o g. 12 m. 45 w nocy dziecko się urodziło.

Dr. Raczyński, który poprzednio w ambulatorjum p. O. zbadał, zaopinjował, iż rozwiązania oczekiwać należy najwcześniej około 25 marca, tymczasem bóle porodowe nastąpiły o 2 i pół

tygodnia wcześniej, tak raptownie w nocy, iż tylko dzięki temu, że zdążono na ostatni nocny pociąg, uniknięto katastrofy.

Rzecz naturalna, wobec nagłości i grożącego niebezpieczeństwa, nie było i być nie mogło mowy o udaniu się do któregokolwiek z zakładów miejskich. Autem popędzono z dworca głównego do najbliżej znajdującego się od kolei zakładu położniczego.

Zaszedł tu więc typowy wypadek, że, ze względu na grożące niebezpieczeństwo życia, najmniejsza zwłoka grozę zwiększała, że przeto, w myśl obowiązujących zarząd Kasy przepisów, powinien zwrócić koszty połogu (art. 42.III.).

I cóż?! Z nędznej urzędniczej pensji p. O. zapłacił za poród żony 245 zł., a Kasa zwróciła mu... 34 zł., t. j. niecałe 14%!

Skrzywdzony zaapelował, zgodnie z art. 83 ustawy, do t. zw. „komisji rozjemczej", zapytując, czy to słuszne? uczciwe? ludzkie? sprawiedliwe? czy nie gwałci ustawy?

Dotąd, pomimo tylu miesięcy, niema odpowiedzi na te nurtujące pytania! Musimy jednak je usłyszeć!

Prezes Koralewski
między 2-ma przystankami tramwajowemi

Prezes zarządu Kasy Chorych, p. Koralewski mieszka na Krak. Przedmieściu Nr. 60 w domu miejskim, jak przystało na ławnika miejskiego.

Przed domem tym znajduje się przystanek tramwajów miejskich, a linja prowadzi stąd wprost przed pałacyk na ul. Wiejskiej Nr. 16, w którym się mieści centrala Kasy Chorych i gdzie jest przystanek tramwajowy.

Idealną ma więc komunikację pan prezes-ławnik, co?

A jednak nasz dygnitarz kasowo-magistracki, czy też magistracko kasowy, nie raczy obu tych przystanków widzieć, nie słyszy dzwonków, zapraszających jakby do wejścia do wygodnego i szybkiego tramwaju, bo i poco?!

Od czegóż Kasa Chorych z jej garażem!?

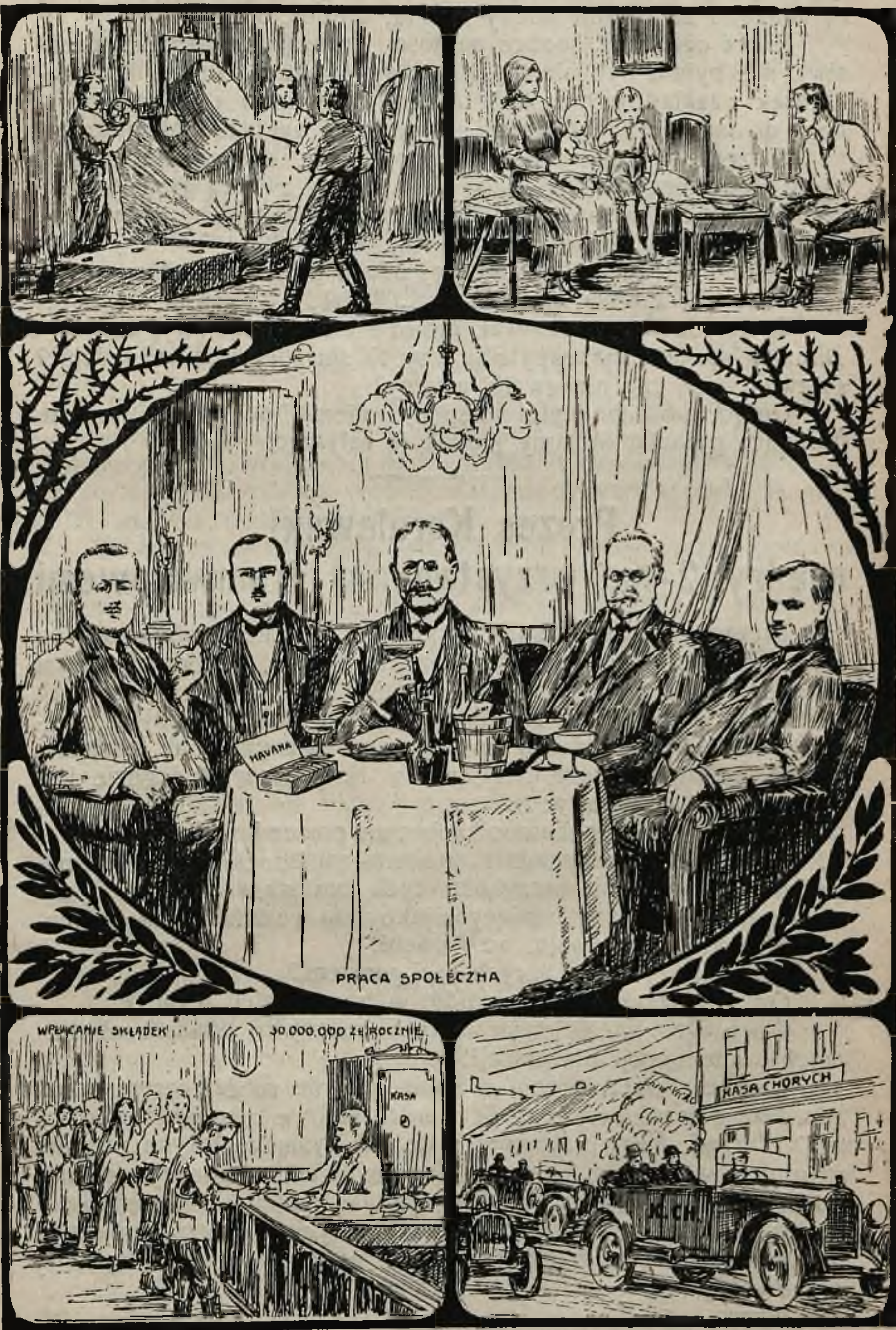
Od czegóż honorowy mandat w honorowych rękach?!

Od czegóż 30 miljonów złotych rocznych składek robotniczych i inteligencji pracującej?!

A wiecie. ubezpieczeni w Kasie, ale nie zabezpieczeni przed kasowem marnotrawstwem, ile was te autowe przejażdżki kosztują? Zarząd Kasy przyznaje się do **355 tysięcy złotych** rocznie, zanotujcie w pamięci tę sumę. Wobec braku pieniędzy na najważniejsze rzeczy, wobec „jak najdalej idących oszczędności" (frazes zarządu) na sprawach najistotniejszych, najpotrzebniejszych i najpilniejszych, ta garażowa kwota nabiera wprost tragicznej wymowy! *)

---

*) Patrz w broszurze Hulanickiego: „Czem jest Warszawska Kasa Chorych" rozdział „Przerwana kontrola" (str. 37).


HAVANA
PRACA SPOŁECZNA
WPŁACANIE SKŁADEK
30,000,000 ZŁ ROCZNIE
KASA
KASA CHORYCH
K.CH.

Symboliczna tablica

Czyż wymaga tłomaczenia ta wymowna tablica? Dla każdego, kto na nią spojrzy, obraz przemawia do rozumu i do serca.

Ciężka, znojna praca, marny posiłek w ubogiem mieszkanku i wnoszenie składek do Kasy Chorych — to los jej członków.

W bogato urządzonym gabinecie, w dymie drogich cygar, przy winie, rozwaleni w fotelach, radzą o użyciu tych miljonów, dygnitarze kasowi. Co i jak uradzą, wiecie najlepiej na własnej skórze!

A przed Kasą Chorych czekają kasowe auta, które odwiozą Koralewskich, Szczypiorskich, Grodeckich na... dalszy ciąg „społecznej pracy!"

*

Za łaskawe pozwolenie skorzystania z tej artystycznej tablicy, wołającej o gruntowną sanację Kasy naszej, składamy serdeczne podziękowanie redaktorowi *„Lekarza Kasy Chorych"* prof. d-rowi Hellinowi.

Jak P. P. S. żeruje

Na wybory do rady miejskiej w Warszawie zarząd związku pracowników Kasy Chorych **przymusowo** opodatkował **wszystkich** członków związku na rzecz P. P. S.

Suma tych, na pepesowski fundusz wyborczy, ściągniętych przez zarząd związku, potrąceń wyniosła bagatelkę...

8 tysięcy złotych.

Formalnie, związek nazywa się „klasowy **bezpartyjny**", idzie o to, aby należeli doń, oprócz pepesowców, członkowie innych przekonań — w lewo, w prawo, neutralni, jaknajwięcej składek! a na co pieniądze idą, o tem, jak i o wszystkiem w Związku, decyduje P. P. S., gdyż faktycznie jest to związek pepesowski.

Grupa członków związku, tych zwłaszcza „z lewa", strasznie pomstuje na ten jawny gwałt. Wystosowała „protest", w którym „stwierdzają, że to przymusowe opodatkowanie jest całkowicie sprzeczne ze statutem związku", żądają więc „niezwłocznego zwrotu sum pobranych dla partji, której działalność uważają za szkodliwą dla ludności pracującej", uprzedzają, że „odmowę zwrotu potraktują, jako **nieprawne przywłaszczenie części poborów**, zastrzegając sobie wszelkie środki prawne przeciwko temu gwałtowi!"

Słusznie? słusznie. Mocno się gniewają? Mocno. Oburzenie bucha płomieniem? Niestety, słomianym! bezpłodnym! Jakże też

w kułak się śmieją z tych „lewicowców", „czerwonych", z własnych nadto zarobków zasilających fundusz wyborczy P. P. S.! A oni na nic realnego zdobyć się nie mogą, oprócz czczego kiwania w bucie! Baranów strzygą, a barany: me, be! Bo barany.

Kaftan furjatów

Telefonowano do redakcji „Pacjenta" z 8 komisarjatu, że zaalarmowane pogotowie Kasy do pracownika firmy szewckiej Marka, z powodu ataku nagłego obłędu, nie było zaopatrzone w kaftan bezpieczeństwa. Dopiero komisarjat wybawił sanitarjuszy kasowych z kłopotu, wypożyczając własny kaftan.

Do niedawna Kasa nie posiadała nawet noszy — mądry w swej mądrej „oszczędności" zarząd o tem nie pomyślał, dopiero głosy prasy zmusiły do ich kupna. Teraz kupi i kaftan! Dawno już zwracano uwagę na potrzebę w Kasie tego niewinnego, a pożytecznego przyrządu, ale obruszył się na to „reorganizator" Kasy, strofując, że „w domu powieszonego nie mówi się o sznurku". A tymczasem potrzeba kaftana przyszła - z zewnątrz, przyda się teraz i wewnątrz Kasy! Azaliż nie, panie komisarzu?

CZESŁAW HULANICKI

Jak podziemna Warszawa przygotowała po raz pierwszy obchód Pierwszego Maja.

(Ze wspomnień osobistych b. proletarjatczyka.)

(Dokończenie.)

Wieczorami i nocami adresowano koperty, do których miały być później włożone odezwy majowe.

I ta żmudna, nużąca i męcząca robota trwała tygodniami, do kwietnia, aż zebrano kilka tysięcy adresów.

Jednocześnie szły przygotowania do drukowania proklamacji.

W godzinach rannych, zjawiała się u mnie „kucharka" obładowana koszykami, naładowanemi mięsem i jarzynami, wyrzucała te obiadowe prowianty na stół, otwierała wielką sofę i układała starannie czcionki, kaszty, wszystkie przyrządy niezbędne w drukarstwie.

Zazwyczaj była to Motzówna i w godzinę rzekoma służąca wychodziła jako elegancka dama, w modnym kostjumie, słowem, ubrana *a quatre epingles,* z parasolką w ręku zamiast koszyków.

W kwietniu też przystąpiono do składania i drukowania odezw.

Projekty odezwy napisali Jędrzejowski, Kiersz i Padlewski; różniły się przewagą akcentowania bądź walki politycznej, bądź ekonomicznej, co, po przyjeździe ze Lwowa Kasjusza,*) zostało wyrównane i uzgodnione.

Wkrótce odezwy zostały wydrukowane, do uprzednio przygotowanych kopert wkładane i adresatom wręczane (o poczcie oczywiście mowy być nie mogło).

Rano zabieraliśmy koperty zapieczętowane i rozklasyfikowane według ulic i numerów domów (parzyste i nieparzyste) i we 2-ch odnosiliśmy po mieszkaniach, osobno idąc po obu stronach ulicy, bacząc, aby nie wchodzić do bramy pierwej, nim towarzysz nie wyjdzie z bramy po przeciwnej stronie. Na jakież scenki i obrazki trafiano przy oddawaniu kopert! W jakże komicznej formie nieraz dawano folgę zdumieniu, przestrachowi, różnym podejrzeniom i domysłom!**)

To systematyczne, dzień w dzień, rozdawanie, w tak niezwykły sposób, proklamacji, zaostrzyło czujność żandarmów, którzy setki szpiclów wypuścili na ulicę. Toteż, gdy zaczęły różne niewyraźne figury kręcić się po placu Mirowskim, kuty na cztery nogi Kasprzak dokończył drukowania odezw w drugiej, zawczasu przygotowanej, drukarni, w mieszkaniu szewca Józefa Snarskiego (róg Chmielnej i Marszałkowskiej), gdzie na 4 piętrze miał wspaniale pod względem konspiracyjnym urządzone locum.

Wynik tej swoistej agitacji był nadzwyczajny. Po kilku dniach Warszawa robotnicza zaczęła o Maju szeptać, mówić, naradzać się, niepokoić. Władze carskie, żandarmi, policja zostały wprost

---

*) **Stanisław Kasjusz,** wychowaniec szkoły handlowej im. L. Kronenberga, wyjechał do Szwajcarji; po nieszczęśliwych doświadczeniach z bombami pod Zurychem, przyczem Aleksander Dębski został ciężko ranny, a Izaak Dembo od wybuchu zabity, na żądanie rządu rosyjskiego wydalono Kasjusza wraz z 12 innymi, polakami i rosjanami z „wolnej" Szwajcarji.

Kasjusz, pod nazwiskiem Hausmana wstąpił na politechnikę lwowską. Jemu w znacznej mierze proletarjat Lwowa zawdzięcza urządzenie majowego obchodu. Ten niezmordowanej pracy słabowity człowiek, pełen oddania i poświęcenia dla ruchu, znajdował jeszcze czas, aby potajemnie przyjeżdżać do Warszawy. Policja lwowska wydała Kasjusza rządowi rosyjskiemu, który go skazał na 5 lat „Kriestów" i 5 lat Syberji. W przeddzień pierwszej rewolucji, o której przez całe swe życie ofiarne marzył, Kasjusz zmarł w Niemczech w 1904 r.

**) Ja w ten sposób obszedłem kilka ulic z inż. Teodorem Cichockim.

zaskoczone. Sfory szpiclów zaczęły uwijać się po mieście. Wszystkich niezameldowanych wleczono do cyrkułów. Wzmnożone patrole kozackie harcowały. Po naradzie u Hurki zaczęto rozsiewać wieści, że „papież nakazał to nowe święto, aby bić żydów". Fabrykanci otrzymali rozkaz podania każdego nieobecnego w tym dniu robotnika. Wojsko w koszarach skonsygnowano, policję zmobilizowano, żandarmów po cywilnemu wypuszczano na miasto. Rewizje i aresztyzaczęły się już na kilka dni przed Majem. Pierwszą ofiarą padł Leopold Niebelt, robotnik, którego na ulicy Waliców aresztował komisarz 7 cyrkułu, zaraz po wyjściu z mego mieszkania z paczką proklamacji, ukrytych w kieszeniach. Dzielny robotniarz, pomimo gróźb, próśb, obietnic, różnych podstępów, nie wydał pochodzenia odezw.

Ostatnie 3 noce przedmajowe przeznaczone były na rozlepianie odezw. Co ranek parkany i mury fabryk zastawano oblepione. Często czynność ta przerywana była tętentem kozaków, wtedy, na odgłos kopyt końskich, kładło się plackiem jak się stało i gdzie się stało: w rowie, w błocie, na drodze.

Boże, w jakim stanie wracało się do mieszkania — nie swego. Ja, niby malarz do roboty, wkraczałem do domu wuja swego, sędziego śledczego, który na ten widok truchlał i zgrzytał zębami.

Wszystko to zostało stokrotnie odkupione radością i dumą na wieść o strajku pierwszomajowym, który objął 8—10 tysięcy, robotników. Liczba ta na owe czasy imponująca! Dobitnie ona świadczyła, że posiew naszej pracy i wysiłków nie poszedł na marne, że groza niedawnych pięciu szubienic proletarjatczyków, że dziesiątki wysłanych na katorgę, setki do więzień i na Sybir nie powstrzymały ruchu wyzwoleńczego proletarjatu.

Pomimo wysiłków rządu i żandarmów, nie udało się shańbić i sprofanować obchodu antysemickiemi wybrykami i gwałtami. Daremnie rewirowi obchodzili sklepy żydowskie, radząc je zamykać w obawie rzekomych ekscesów. Ciemne i dzikie moce nie miały odwagi wystąpić ze swych nor.

Wściekłość rządu i żandarmów nie znały też granic.

Rewizje i areszty odbywały się w ciągu całego maja. Stanisław Trusiewicz (Kazimierz Zalewski) widząc, że jest osaczony na ul. Czerniakowskiej, stracił głowę i wpadł do rodziców Adolfa Warszawskiego.

Kasprzak i Padlewski ocaleli. Kasprzak w 15 lat został po-

wieszony 8.9.1905 r.*). W jesieni 1890 r. Padlewski w Paryżu zabił generała Seliwerstowa, organizatora sieci szpiegowskiej na zagranicę. Zamach Padlewskiego odbił się głośnem echem w całej Europie. Sprawca, dzięki pomocy dziennikarzy francuskich, dostał się do Londynu, stamtąd do Ameryki.

Aresztowanym uformowano „Sprawę Pierwszego Maja" i zostali skazani — „z najwyższego rozkazu" (po wysoczajszemu powielenju): Samuel Weinberger i Włodzimierz Schlejen**) po 3 i pół celkowego więzienia w „Kriestach", Wodzisławska, Niebelt i Hulanicki po 2 lat, Trusiewicz 1 rok, Romuald Mielczarski, Bolesław Miklaszewski (b. minister oświaty) i Kawiński po 8 miesięcy. Nikomu nie wliczono czasu śledztwa, które trwało przeszło rok.

Weinberger i Nibelt zmarli w więzieniu.

CZESŁAW HULANICKI

Z dokumentów niedawnej przeszłości

Ogrom wiedzy — kruchość charakteru

Prof. Ludwik Krzywicki jest człowiekiem nauki. Posiada olbrzymi zasób wiadomości i kolosalne oczytanie. Był nauczycielem i popularyzatorem teorji Marksa i wielu z pokolenia, żyjącego przed 30—40 laty, Krzywickiemu zawdzięcza pierwsze kroki w tym kierunku. Postępowanie jego było jednak nieraz tego rodzaju, że wymagało karcenia i piętnowania. Jak widać z poniższego dokumentu, mnie parokrotnie przypadła ta przykra rola. W związku ze wspomnieniami majowemi, publikuję wystosowany przezemnie w czasie wojny

---

*) **Marcin Kasprzak** bezsprzecznie należy do najtragiczniejszych postaci walczącego proletarjatu.

Ten męczennik-bohater, ofiara w równej mierze siepaczy carskich, jak i pepesowców, wiecznie żyć będzie w pamięci klasy pracującej. Spółdzielnia „Książka" wydała, w dwudziestą rocznicę stracenia Kasprzaka, treściwą broszurę, pióra Zygmunta Ostrowskiego, z której każdy może i powinien zapoznać się z losami Kasprzaka. O potwornem oskarżeniu przez P. P. S. dowiedziałem się w Krestach, na widzeniu ze Stanisławem Pękosławskim. Nie zapomnę wrażenia.

**) Ogłuchł w Krestach, wtedy student, obecnie wybitny inżynier, mieszka w Krakowie.

„List otwarty do pana Ludwika Krzywickiego“

Listu tego cenzura Beselera nie pozwoliła wydrukować; stanowi on drobny może, acz ciekawy przyczynek do dziejów tak niedawnej naszej przeszłości.

* * *

Ponieważ głosił Pan zawsze, że jest Pan marksistą, więc wybiorę z licznego szeregu faktów, znanych mi z pańskiej „działalności" te tylko, które charakteryzują Pana jako marskistę.

A więc, pamięta Pan, jak w przeddzień pierwszego obchodu majowego przyjechał do Warszawy z zagranicy, jako emisarjusz, Stanisław Padlewski.

Miał on polecenie zobaczenia się, pomiędzy innemi z Panem, jako rzecznikiem marksizmu w kraju naszym.

Niestety, obawa przed następstwami komunikowania się z „nielegalnym" sprawiła, że, mimo usiłowań samego Padlewskiego i towarzyszy, nie udało się mu z Panem zobaczyć.

Tak się Pan zachowywał względem rewolucjonistów żywych... Jakże inaczej traktował Pan rewolucjonistów zmarłych!

Po śmierci Br. Chrzanowskiego, redaktora „Robotnika“, jednego z najczystszych i najszlachetniejszych działaczy robotniczych, napisał Pan w 1894 r. w „Gazecie Polskiej" „nekrolog", który, zniesławiając pamięć zmarłego, był zupełnie dostowany do organu, w jakim się ukazał.

Z tego powodu otrzymał Pan odemnie piśmienny protest wystosowany w imieniu i z polecenia organizacji, wyrażającej Panu pogardę i oburzenie, na co Pan zupełnie nie reagował.

Takim był Pan za czasów swej „górnej i chmurnej“ młodości, takim pozostał Pan i w latach późniejszych, aż do ostatniej chwili.

Kiedy w r. 1912 grupa robotników, wyznawców wszystkich kierunków lewicowych, postanowiwszy walczyć z bezideowością kooperatywy spożywczej, kierowanej przez renegata ruchu p. Stanisława Wojciechowskiego, zamierzała opanować „Merkurego“, — osobiście byłem u Pana.

Stanowisko i dążenia nasze Pan zaaprobował, dodając, że sam Pan „Wojciechowskiemu ręki nie podaje". Zsolidaryzował się Pan z nami do tego stopnia, że prosił Pan nawet o posadę w „Merkurym“ dla swego protegowanego.

Gdy jednak zwyciężyliśmy i gdy p. Wojciechowski wraz ze swymi adherentami postanowił za wszelką cenę nas usunać, używając do tego prasy burżuazyjnej, w licznym chórze głosów obrzucających błotem tych, których kwalifikowano jako „żywioły podniecone wyborem Jagiełły i zaczynające opanowywać placówki społeczne“, — gdy to spowodowało rewizje ochrany, — w chórze tym nie zabrakło i Pańskiego głosu.

Aby upozorować zmianę frontu, zaczął Pan rozszerzać potwarze o Koszutskim, redaktorze „Życia Warszawskiego", jakkolwiek wiedział Pan dobrze, że pisma jego używwaliśmy tylko, jako legalnego parawanu celem naradzania się i zbierania w lokalu redakcji.

Kiedy jednak spotwarzony Koszutski wezwał Pana na sąd honorowy,— uchylał się Pan wszelkiemi środkami od sądu, jako argument przeciw Koszutskiemu przytaczał Pan jego powieści...

Że będąc marksistą, pisywał Pan w prasie burżuazyjnej, z tego Panu zarzutu nie robię, niedopuszczalnym jednak wydaje mi się, że Pan, jako korespondent pism rosyjskich, uważał za możliwe uderzać w ton patrjotyzmu wielko-rosyjskiego, i z uniesieniem opisywał pobojowiska podwarszawskie, na których „pało tylu a tylu germanow".

Gdy jednak ciż „germanowie" weszli do Warszawy, uważał Pan za stosowne, ubrawszy się w strój uroczysty, iść składać czołobitność wodzowi owych germanów w charakterze członka „Komitetu Obywatelskiego".

Jak wogóle żałosną była rola Pańska w owym Komitecie, w którym miał Pan — bez niczyjego upoważnienia! — reprezentować „żywioły lewicowe!".

Czy zdobył Pan choć jedną koncesję dla proletarjatu, czy odwrócił Pan choćby jeden cios, których tyle spadło z rąk owego Komitetu Obywatelskiego na robotników?!

Milcząco i uniżenie aprobował Pan wszystkie jego kroki, a kiedy przyszło do demaskowania nędznej roli owego „Komitetu", jako publiczny oskarżyciel wystąpił demokrata mieszczański p. Łypacewicz, a nie „socjalista" Krzywicki!*).

Żałosną była rola Pańska nie tylko w Komitecie Obywatelskim, nie mniej żałosną ona była i w zmarłym nagłą śmiercią Związku Nauczycielskim, do którego pogrzebania i Pan się przyczynił do spółki z pp. Cynarskim i Rygierem, a w którym działał Pan nie w obronie nauczycieli, lecz przeciw nim (że przypomnę Pańskie wystąpienie w „Przeglądzie Wieczornym" w sprawie zatargu nauczycieli z zarządem szkoły, patronowanej przez finansjerę żydowską).

Bierność i uległość swą posuwał Pan tak daleko, że nawet Pan nie reagował na fałszowanie protokułów ogólnych zebrań, a wszak piastował Pan w Związku mandat „prezesa zarządu głównego".

Przypieczętowaniem Pańskiej działalności, działalności „marksisty polskiego" jest Pański jednoczesny udział w pracach „Tymczasowej Rady Stanu" i w posiedzeniach Koła Międzynartyjnego.

Obie te ekspozytury wojującego nacjonalizmu są jednakowo ostro zwalczane przez klasowy obóz uświadomionego proletarjatu, w obu bierze Pan czynny udział.

Słowem, jest Pan wszędzie tam, gdzie zwalczają robotników, niema Pana tam, gdzie robotnicy walczą. A mimo to, ma Pan odwagę udawać marksistę.

Nienawiść Pańską do mnie, który nigdy nie sprzeniewierzył się ideałom młodzieńczym, rozumiem i dlatego, — kończąc nasze stosunki — wyrażę tylko żal, że mogąc zostać bojownikiem o wyzwolenie klasy robotniczej, wybrał Pan rolę piątego Koła u burżuazyjnego wozu.

---

*) Ów „Komitet" był bojkotowany przez esdeków i lewicę P. P. S. Dopiero grupa robotników, pod przewodem „fraka" Ziemięckiego, złożyła... **„petycję"** o wejście do „Komitetu"!. Oczywiście, petycjonistów radośnie przyjęto!

Zabawna historja

Jaczejka pepesowska w „Pacjencie“

Cóżby za perełkę humoru i dowcipu stworzył taki Mark Twain, Awerczenko lub Makuszyński ze zdarzenia, jakie zaraz opowiem! Moje zaś pióro musi się ograniczyć do rzeczowego przedstawienia sprawy.

Zgłosił się do mnie przed kilku miesiącami p. Leon Weinberg z propozycją finansowania i administrowania **„Pacjenta“**, z warunkiem jednak figurowania na okładce i pierwszej stronie, jako współredaktor.

Co zacz jest p. Weinberg? Z wyglądu szykowny kantorowicz, z zajęcia - dymisjonowany wicedyrektor powiatowej Kasy Chorych i wycofany członek zarządu warsz. Kasy Chorych, z wykształcenia - spuśćmy zasłonę, z obejścia się - nie poruszajmy drażliwych kwestji, zato wymowa, spryt, tupet, inwencja - niewyczerpane! Powiedział do mnie ktoś zaraz po posiedzeniu zarządu Kasy Chorych:

— Jednak ten Weinberg to człowiek zdolny.

— To po nim widać.

— Ba! posłuchać go trzeba na zarządzie: wnioski, propozycje, projekty sypie, jak z rogu obfitości. Dziś było ich sto.

— Przyjęte?

— Z tem gorzej: żaden nie do przyjęcia...

— No, i co Weinberg na to?!

— Uśmiechnął się z wyższością i usłyszeliśmy: proszę bardzo, oto sto pierwszy. Ale cały zarząd czmychnął.

Rzecz zrozumiała, iż współpraca z tak niepospolicie utalentowanym i zasobnym w potoki elokwencji mistrzem napawała mnie pewnym niepokojem.

Tembardziej, że już raz, w pierwszych numerach „Sprawy Ubezp. Społ.“ (organ pracowników), musiałem zaatakować p. Weinberga, z racji jego marnego, wręcz na szkodę pracowników działania, wobec barbarzyńskiego wprowadzenia przez zarząd Kasy, z inicjatywy Skarzyńskiego, urlopów zimowych.

Wtedy przyszło do mnie 2 z „Frakcji Czerwonej“ (pp. K. et K.) z prośbą, aby Weinberga nie krytykować; nie usłuchałem, bo sprawa dla mnie zawsze wyżej stoi od osób i miałem zadowolenie, że w 2 tygodnie potem przyszła do mnie delegacja pełnego zebrania tejże frakcji z podziękowaniem za niezłomne stanowisko i z rezolucją, aby „Sprawę“ dalej redagować.

Tembardziej należało być ostrożnym, że roku jeszcze niema, jak Weinberg, ów czerwony frakcjonista, wystosował w „Robotniku“ nędzny, tchórzliwy, kłamliwy list w obronie Szczypiorskich i Lengów, których sam piętnował przede mną i przed d-rem red. Hellinem za korzystanie z podsłuchowej stacji.

Wiedząc, że plugawym tym krokiem wywoła oburzenie i pogardę, Weinberg przybiegł do mnie i mętnie i wykrętnie, ale zato górnolotnie, długo, długo dziurę w brzuchu wiercił, iż to... „wyższe racje“, nadchodzące wybory do rady Kasy, do ciał prawodawczych i t. d. kazały mu list napisać

i wręczyć Szczypiorskiemu, a stało się to — słuchajcie i podziwiajcie czelność! — z aprobatą wyższych instancji.

Nic nie pomogło, bo ja bzdurami nie dam się omamić, umieściłem więc ów głośny list w „Gazecie Porannej", a owe, niby to aprobujące list w „Robotniku" „wyższe instancje" momentalnie wycofały Weinberga z zarządu Kasy Chorych, gdzie sobie usłał ciepłe gniazdko, oddały go pod sąd, który obszedł się z nim łagodnie, gdyż udzielił mu tylko nagany, a na skutek protestu „prokuratora" zaostrzył wyrok zawieszeniem na rok w prawach członka.

Ale właśnie to tak świeże przejście z kompromitującym wynikiem, zdawało mi się, zabezpiecza mnie przynajmniej z jednej strony; od serwilizmu Weinberga wobec wybitniejszych pepesowców, od „kombinowania" nadal z nimi, od umizgania się do nich, od całej tej wstrętnej gry.

Fatalna przygoda, jaka mnie spotkała, dowiodła, że byłem w błędzie.

Bo oto, kiedy Nr. 3 „Pacjenta" przełamałem i oddałem na maszynę do druku, Weinberg perfidnie skorzystał z mego wyjścia z drukarni i powykreślał nazwiska wybitniejszych pepesowców, nawiasem mówiąc, z mego artykułu w mej sprawie! To skaziło, przeinaczyło, zwęziło, zniekształciło artykuł.

Nie trzeba być dziennikarzem, wystarczy być człowiekiem społecznie wrażliwym, aby zakwalifikować taki postępek, jak na to zasługuje. Każdy niezagwożdżony mózg może mieć jedno tylko o tem zdanie, każde nieskrępowane sumienie — jedno uczucie.

Zapytacie, czytelnicy, czem się tłomaczy to niesłychane nadużycie mego zaufania, to niedopuszczalne cenzurowanie poza mą wiedzą i wolą, słowem, co Weinbergiem powodowało?!

Otóż to. Weinberg starannie przedtem ukrywał, że usilnie zabiega o ponowne dostanie się na posadę w Kasie Chorych. I wykombinował. Jestem — myślał — kandydatem czerwonych, ale dopiero przy poparciu pepesowców, a bez energicznego sprzeciwu chadeków, uda się zamiar uskutecznić.

Nadewszystko przeto należy zjednać Sczypiorskiego, nie zrażać Lengi, Łokietka i t. p., w tym celu udowodnić trzeba, że ja, czerwony Weinberg, czuwałem nad tem w „Pacjencie"...

To znaczy, że pismo miało służyć za środek szantażu: bo jak nie, to zobaczycie! Drżyjcie! Wszak 3 lata sterczałem w zarzadzie Kasy przez ten czas uzbierałem wiele wiadomości, oszczędzać nikogo i niczego nie będę...

Co za ohyda. Co za zgnilizna! Goethe powiada, że filister to flak, nadziany nadzieją i strachem. Filisterstwo Weinberga, żywionego nadzieją dostania się do Kasy na posadę, a miotanego strachem pozostania nadal bez miejsca, wyraziło się w takiem paskudztwie, w takiej moralnej degręgoladzie!

Dobrze jeszcze, że flak tylko skreślił, usunął, co mu się wydawało nie na rękę, ale wszak również dobrze mógł co dodać, dapisać dla przypodobania się posadodzierżcom kasowym!

Ładniebym wyglądał, co? ani się człowiek spodzieje, jak wpadnie z takim „ideowym" drapichróstem!

Zabawna historja? O, jakże smutna i bolesna!

Bajeczna odprawa

Czytamy w N-rze 21 „Lekarza Kasy Chorych“:

„Pan dr. J Weinbaum (czyżby dr. med.?) w dalszym ciągu rozwija swą moralizatorską działalność względem stanu lekarskiego. W N-rze 6 „*Spr. Ubezp. Społ.*“ mówi on o lekarzach, że grają oni rolę „dwulicowego Janusa“. A sam szanowny autor odróżnia się zapewne znacznie od Janusa: tamten bowiem miał dwie twarze, a szanowny autor dwie... Nic więc dziwnego, że autor ten kończy artykuł swój słowami: „dopóki nie mamy lekarzy sumiennych, obowiązkowych i mających społeczne poczucie, kwestja lekarska w zakresie K. Ch. przedstawia twardy orzech do zgryzienia“. Dla autora naturalnie — brak mu bowiem w jego Janusowei „twarzy“ zębów; lecz nie dla stanu lekarskiego.“

Może jaki świętoszek się żachnie, że to nie po wersalsku; może, ale że morową dostał odprawę amator posady „z gratyfikacją i awansem“, temu nikt nie zaprzeczy.

Platoniczne uznanie nie wystarczy!

Nietylko prasa stwierdziła nieodzowną potrzebę pisma służącego obronie ubezpieczonych, zdanych na łaskę i niełaskę kasowej biurokracji, ale bezpośrednie, z różnych sfer pochodzące głosy utwierdzają nas w przeświadczeniu, że „**Pacjent**“ zajął posterunek, na którym stanowi konieczną przeciwwagę tego, co ta egoistycznie zachłanna biurokracja wyprawia, rządząc i panosząc się jak przysłowiowa szara gęś, ba! bywa gorzej, jak wilk w owczarni.

Niestety, samo uznanie, niepoparte realnem współdziałaniem, nie wystarczy i wystarczyć nie może, albowiem „**Pacjent**“ jest organem bezpartyjnym i niezależnym, nie opiera więc swej egzystencji na żadnych subsydjach, redakcja liczyć jedynie i wyłącznie może na własne siły, dając pismu pracę bezinteresownie, oddając czas, wystawiając się na ataki wrogów demaskowanych i piętnowanych, wrogów silnych, cynicznych i wpływowych, gdyż rozporządzających wielkimi funduszami, coprawda cudzemi **i dlatego hojnie szafowanemi**, bez żadnych zgoła skrupułów i obawy odpowiedzialności.

Stawiamy przeto sprawę jasno. Chcecie, ubezpieczeni mieć swój organ i swą broń, przychodźcie „**Pacjentowi**“ z takiem przynamniej zrozumieniem rzeczy, iżby miał czem drukarnię opłacać, która nie czeka i czekać nie może na swą należność, twórzcie koła przyjaciół pisma, jednajcie mu czytelników, rozpowszechniajcie o nim wiadomość, słowem, otaczajcie wasze pismo nietylko platoniczną, sympatją, ale i materjalnemi środkami, umożliwiającemi mu bytowanie.

Redaktor-Wydawca: CZESŁAW HULANICKI.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Pańska 13a, tel. 140-60.
Konto w P. K. O. Nr. 13863.

Zakłady Graficzne „Ars“, Warszawa, Sienna 33.